Lwów, 15. Kwietnia. № 45. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr. — półroczna 3 Zlr. — kwartalna 1 Zlr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Zlr. — półrocznie 4 Zlr.—kwartalnie 2 Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zmowa.

(Ciąg dalszy.)

Reb Srul z dumną i kpiącą miną patrzył na nich, założywszy obie ręce za pas.

— Gadajże panie arendarzu!

— Pani Anieli powiada! — mówił starozakonny dalej, że bywa u barona...

— Książki pożyczać! — przerwała zagadniona, naśladując zmieszanie.

— To jemu na jedno wychodzi. Niechże pani Anieli jemu tak tylko niby nie.... powie.... że Znajda umizga się do panny Helenka, i że panny Helenka kocha się w Znajdziech.

— Czy to może być? — zawołali przytomni.

— Czy może, czy nie może, to wszystko jedno... ale tak trzeba baronowi powiedzieć, i dobrze tego powiedzieć, już to pani Anieli będzie wiedzieć, jak dobrze powiedzieć.

— To niezła myśl! i prawda, przypominam sobie teraz nie jedną rzecz — mówiła Aniela, ale baron będzie się śmiał tylko, bo i cóż mu tam do tego. Możeby lepiej powiedzieć to panu Kazimierzowi, ja bym mogła być u niego.

— Pan Kazimierz uwierzy albo nie uwierzy pani Anieli, i Znajdzie zostanie, bo Znajdzie potrzebny panu Kazimierzowi. Ale jak baron się dowie, i pogada z naszego panem, nu! wtenczas! inaczej pójdzie!

— Nie rozumiem przecie! bo co pana Stanisława to może obchodzić!

— Ja waspaństwu mówiłem, że baron ma duże dobry nos. Wun wąchuje najlepiej, jakiego sposobu trzeba użyć, aby Chałupińce przestały należeć do pana Kazimierza.

Wszyscy patrzyli coraz ciekawiej na naszego żydka, który nie uważając na to, dodał poprawiając jarmułki.

— Ja teraz waspaństwa pożegnam, bo ja nie mam czasu. Zróbcie jak wam Srul poradził, a będzie dobrze. Panie Pikuła! — dodał biorąc ekonoma na bok; moja rada dobra, aby się pozbyć Znajdy, którego ja także nie chcę by tu został, ale jegomości ja jako przyjaciel radzę, abyś tak był gotów zawsze, żeby się ztąd wynieść. Bo choć Znajda pójdzie do wojska, choć pani Anieli bywa u barona, ani wun długo nie będziecie popasać tutaj. A co Srul powie to prawda! — skończył starozakonny i nim wszyscy wyszli z zadziwienia, nasz Reb Srul już był daleko.

We dworze Chałupinieckim tymczasem była żałoba. Rozumie się samo przez się, że żałoba prawdziwa, żałoba serca, była tylko w części dworu, przez Helenkę zamieszkałej. Biedna dziewczyna po śmierci ojca i ciotki nie mogła utulić się z żalu. To smutne sieroctwo, ta samotność okropna, w jakiej została, ciężko padły na jej serce. Wczorajsze dziecko prawie, cierpieniem życia doścígła, okiem na długo jeśli nie na zawsze zasępionem, ale jasnem i pojętnem zarazem, patrzała wkoło siebie. I widziała obojętność Francuzki, ukrywającej dla dekorum tylko znudzone ziewania swoje; widziała obojętność i egoizm tych wszystkich domowników, których dotąd uważała młoda i niedoświadczona za część niejako konieczną tego, co ją otaczało, grona rodzinnego. A jeszcze gorzej, gdy po powrocie brata z zagranicy rzuciwszy się w jego objęcie z całą siłą uczucia, zrozumiała cały chłód tego uścisku jakim ją przywitał. Ona szukała gorącej pociechy na gorący żal swój, a znalazła grzeczne tylko ale zimne objęście się; ona łez, podobnych swoim szukała w nim, i zdybała jeno jego spojrzenie suche, badawcze a czasem szydzące. Z żałobą serca wybiegła naprzeciw brata, i zdybała tylko żałobę sukni. Są to doświadczenia smutne zaiste, ale doświadczenia zawsze, a doświadczenie każde prędzej niż lata, posuwa nas na drodze żywota ludzkiego. Cóż dziwnego, że z takiemi doświadczeniami, w takiem otoczeniu, jej serce i umysł musiały się zwrócić ku jedynemu współczuciu serdecznemu, jakie zdybywała w tej biednej jak ona od całego świata opuszczonej sierocie, w Znajdzie. I to nie było współczucie jednej lub kilku chwil, jednej lub kilku łez, współczucie oznak powierzchownych, ale to współczucie czynu, codzienne, niezmordowane. Takiem było współczucie Znajdy, taka była staranność i troskliwość jego, którą niepostrzeżenie, bez wystawy, otaczał codzień córkę swego zmarłego dobrodzieja. Jeżeli uczucie po śmierci drogich sobie istot, widziała w oczach Znajdy, jedne w całem może zgromadzeniu, szczere, serdeczne łzy głębokiego żalu; niemniej uderzały ją codzienne przez niego dawane dowody ciągłego wylania się i poświęcania dla niej. Nic więc dziwnego, że widok Znajdy, jakkolwiek

wiek rzadko się jej pokazywał, ciągłemi rozerwany zajęciami, stał się dla niej jedyną pociechą; a ta pociecha jakże jej była potrzebną! Następstwem niemniej koniecznem było, że to jej uczucie dla Znajdy z przyzwyczajenia do litości, i jej czułości naturalnej złożone, zwiększone wdzięcznością, zrażone ze wszystkich stron obojętnością wszystkich, nabierało coraz jaśniejszych i dobitniejszych zarysów. Nadto była młoda jeszcze sercem, nadto czysta myślą, by się sama zdołała zastanowić nad własnem uczuciem, i ocenić je należycie. Ale uczucie to wzmagało się codzień, i jak było bez nazwy, tak też było bez miary. Jedyną jej oznaką widoczną była chęć zbliżenia go do siebie, czyli raczej do świata, w którym żyć musiała koniecznie. Jako środków do tego używała: książek, które mu dawała do czytania z licznej dosyć biblioteki ojca i ciotki, a gdy go widziała i umysłem i wiadomościami zbliżonego do siebie, mimowolnie pomyślała o zbliżeniu go do siebie strojem innym. Nie przyszło jej łatwo wypowiedzieć mu to zdanie swoje, i tylko przymówki panny Heloizy do chłopskiej odzieży przymusiły ją prawie do tego. Nie bez wewnętrznego żalu i wstydu przystał na to nasz Znajda poczciwy, który im więcej miał wewnętrznej wartości, tem mocniej pojmywał obowiązek niejako trzymania się w granicach stanowiska w jakie go los postawił. Ze łzami w oczach i wewnętrznym zarzutem sumienia pożegnał swoją prostą siermięgę, lecz czyliż zdołał co odmówić tej swojej pani, którę cenił i uwielbiał nad wszystko. Bo inaczej niepojmował tego, jakie miał dla niej uczucia; służąc jej całe życie, poświęcić się dla niej, a choćby i umrzeć w jej usługach, to było jego jedyną myślą, i jedyną chęcią. Dalej nie sięgał, ani szlachetnym umysłem swoim, ani sercem czystem i niezepsutem. W jego uczuciach dla Helenki było coś starowiekowego, rycerskiego, jakby owych paziów, o których czytał i o których wyrobił siebie poetyczne wyobrażenie, poświęcających się bezwarunkowo usłudze swojej pani.

Przyjazd pana Kazimierza nietylko nic nie zmienił, ale jeszcze więcej pomógł do zbliżenia pani i sługi. Pan Kazimierz nauczony drogo zapłaconem doświadczeniem, wykształcony na praktycznym bruku paryskim, i w praktyczniejszem nadto towarzystwie pana Stanisława, utracił za granicą wiele z ojczystych wyobrażeń i uczuć, choć ich niewiele wywiózł z sobą, a nabrał natomiast niemało owego zimnego egoizmu, i tej chłodnej trzeźwości serca i umysłu, który tak bierze górę w wykształconem społeczeństwie, a której brak nam zarzucają jako wadę, gdy jest naszą jedyną cnotą, bo źródłem w którem czerpimy naszą wiarę, nasze męztwo i naszą wytrwałość. Poznał więc odrazu pożytek jaki mieć może ze Znajdy; zrozumiał zatem jako wojażer z zachodu przybyły, utylitarność tego sługi, i postanowił ją exploatować. Używamy tu słów jakiemi się sam wyraził, mówiąc o nim przed panem Stanisławem. Dawna nienawiść do Znajdy jeżeli ją nawet pamiętał, nieprzeszkadzała mu zupełnie; i owszem mogła mu być bodźcem do lepszego i bezwzględniejszego spożytkowania jego usług i poświęceń. Ale drobne rysy jakiejsić zazdrości o prostą dziewkę, jakiegoś głupiego domysłu o stosunek z siostrą, czyliż nawet mogły pozostać w głowie człowieka, który przeszło dwa lata wojażował, i nasycił się rok cały życiem paryskiem, literaturą paryską, i tą całą cywilizacyą powierzchowną zachodu, którą by zrozumieć, zgłębić i na korzyść swą obrócić, trzeba już przybyć z pewnem przygotowaniem serca i głowy, a mianowicie nie trzeba jej szukać wyłącznie w traktyerniach modnych, klubach sławnych, w romansach francuskich, lub towarzystwie loretek i ich koniecznego otoczenia.

Znajda tedy pozostał przy dworze Chałupinieckim nie jako prosty sługa, ale jako totumfacki, na którym opierało się wszystko. Pan Kazimierz, którego udelikatnione przez podróż ucho i pojęcia o godności ludzkiej, urażało nazwisko Znajdy, zaczął go nazywać: mon cher! co przynajmniej dowodziło, że wolał być nieszczerym po francusku niżeli fałszywym po polsku... Helenka zaczynała go nazywać: mój przyjacielu, ale na usilne jego prośby, nazywała go także Znajdą.

— Ja nie chcę zapomnieć kto jestem i zkąd wychodzę; mówił on z przekonywającem uczuciem prawdy. Panna Helena kazała mi się przebrać, a jak mnie teraz przezwie jeszcze, boję się bym się nie przemienił. A ja chcę pamiętać, że całe życie moje jestem i będę sługą panny Heleny.

Tak rzeczy stały na dworze Chałupinieckim, podczas gdy Pikułowie, Szypelscy i Reb Srul zmawiali się na biednego sierotę, którego poczciwość i jasne pojęcie rzeczy, były im solą w oku. Niebędziemy krok w krok chodzić za panią Szypelską i szpiegować jej odwiedzin u pana barona Stanisława Łapeckiego. Wiemy że baron nie był nieprzyjacielem płci pięknej; pani Aniela mogła się mianowicie w wiejskiej samotności na czas jakiś podobać; nie chcemy się w to wdawać, ani też powtarzać co o tym stosunku pani Anieli twierdziła kronika skandaliczna, która, że nietylko po miastach ale i na wsi istnieje, wiedzą wszyscy, a utrzymują jedni że z przyczyny rozpowszechnionej wszędzie niesprawiedliwej złośliwości ludzkiej, gdy tymczasem twierdzą drudzy, że onej powodem jest wszędzie jednakowa pochopność ludzka do słodkich romantycznych błędów. Nie wchodząc zatem w ściślejsze wybadywanie odwiedzin ekonomowej u dziedzica, nie wiemy w jaki sposób wypełniła polecenia Reb Srula, i przystąpiemy odrazu do nastąpionej w kilka dni po opisanych przez nas zmowach, wizyty barona w Chałupińcach.

Pan Stanisław po powrocie swoim do Zalesiniec, powrocie spóźnionym nieco przez starania i zabiegi około tytułu baronowskiego, odwiedzał czasami pana Kazimie-

rza; był zawsze z nim na stopie przyjacielskiej, ale o wiadomym nam długu dotąd nie wspominał. Bywając w Chałupińcach prosił brata oczywiście, by go przedstawił siostrze, którą ledwie dzieckiem jeszcze znał. I naturalnie był dla niej bardzo grzeczny i uprzejmy, starał się ją nieraz zabawić i rozerwać opowiadaniami podróżnemi, które umiał układać z pewną zgrabnością, a oddawać z dowcipem, wzbudzającym zajęcie, lecz niczem innem nie zdawał się zwracać na nią więcej uwagi, nad tę, jaka się należała siostrze przyjaciela i bogatej dziedziczce. Zapomnieliśmy bowiem powiedzieć, że brygadierowa umierając zapisała Helence swój własny, znaczny dosyć majątek. Zapis ten jak łatwo pojąć nie zwiększył uczuć serdecznych jakich miał i tak mało pan Kazimierz dla siostry. Uważał to za niesprawiedliwość oczywistą, a łatwy do posądzeń, jak każdy człowiek zdolny krzywych postępowań, pomyślał nieraz, że siostra korzystała z jego nieobecności. Jego duma przytem jako mężczyzny, głowy rodziny, niemało obrażoną była, przez przekonanie którego sam przed sobą nie mógł utaić, że jest daleko uboższy od siostry, a mianowicie mając wzgląd na ów nieszczęśliwy weksel dany panu Kazimierzowi. Niemniej przeto kwas wewnętrzny umiał pokryć przed siostrą, dla której właśnie może dla tych wszystkich przytoczonych przyczyn był nad miarę grzeczny i uprzejmy.

Owoż pan baron Stanisław Łapecki przyjechał jak mówiliśmy w odwiedziny do pana Kazimierza. Pierwszy raz miał się przyjacielowi i jego siostrze przedstawić jako baron; uznał tedy za rzecz przyzwoitą zajechać przed kolumnadę gankową nowym powozem wiedeńskim z mnóstwem koron baronowskich, i czterma dzielnemi końmi, obronzowanemi należycie i ubranemi w róże i fontazie baronowskie. Panna Helena na widok zajeżdzającego barona, wyszła ze wspólnego saloniku do swoich pokojów; trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż nie było żadnej widocznej temu przyczyny, nie lubiła pana Stanisława mimo całej jego układności. Unikała go nawet, jak gdyby przeczuwała że może mieć jakie z jego powodu nieprzyjemności. Byłoli to istotne przeczucie, lub ten instynkt ludziom uczciwym właściwy, za pomocą którego, bez właściwych powodów, bez rozumowania pojmują drugiego wartość moralną?

Przyjaciele znaleźli się tedy sami. Naturalnie rozmowa zaczęła się od baronostwa, którego powinszował pan Kazimierz półgębkiem i półsercem, i nie bez uśmiechu który choć był uprzejmy, zawierał w sobie niemało szyderstwa.

Pan Stanisław przyjął powinszowanie za dobrą monetę, i zlekka tylko napomknął, że po śmierci ojca zastał już w tym względzie poczynione kroki, których już cofać nie chciał. Ztąd najnaturalniej przeszedł do wydatków jakie miał z tego powodu, wydatków które połączone ze znacznemi kosztami podróży stawiają go teraz w położeniu dosyć krytycznem, a mianowicie z tej strony przykrem, że jest przymuszony upomnieć się u kochanego pana Kazimierza o te pieniądze któremi jego długi w Paryżu popłacił.

— Mniemam zresztą; dodał od niechcenia, że ci to kochany Kaziu nie zrobi tak wielkiej różnicy, bo znaczne zapewne kapitały i gotówkę nawet musiałeś znaleść po panu szambelanie.

— Właśnie też; — odpowiedział pan Kazimierz z przeciągniętą twarzą, że żadnych a żadnych ani pieniędzy, ani kapitałów nie zostało po moim ojcu. Mnie to samego dziwi, słowo honoru!...

— Przykro mi tedy, żem się urządził w sposób, iż mam wypłatę do zrobienia; a zatem...

— Sens moralny! każesz sobie zapłacić.

— Przyznasz sam, że kiedy mógłem...

— Głupia ta podróż moja!... straciłem znaczną część mego majątku, a co gorzej, że się teraz wściekle nudzę na tej głupiej wsi... Ot kup sobie odemnie wszystko... dopłać!... a ja powiem wam wszystkim upadam do nóg... i wyruszę z tego nieznośnego Podola.

— Żałowałbyś potem, a jabym sobie miał do wyrzucenia...

— Ja niewidzę innego sposobu; abyś przyszedł do swoich pieniędzy.

— Byłby przecie inny sposób!...

— Inny sposób? zawołał pan Kazimierz z prawdziwem zadziwieniem.

— Ty wiesz kochany Kaziu! zawołał baron z głosem i gestem wzruszenia; że jestem twoim prawdziwym przyjacielem, i jak byłbym szczęśliwy, gdyby ten stosunek nasz za granicą zawarty, mógł się ustalić, utrwalić.... i.... Jednem słowem przyjechałem cię prosić o rękę twojej siostry. Dawniej jeszcze przed mym wyjazdem, niemogłem być obojętny na pannę Helenę; powszechnie znana dobroć serca, skromność, wdzięki...

Pan Kazimierz niemógł wytrzymać, by nie mruknął.

— I posag po śmierci brygadierowej wcale nie zły...

— I nawet, ciągnął dalej nieuważając na przerwę; jeżeli nie zaniechałem starać się o tytuł, to tylko aby się stać godniejszym związku z rodziną waszą, której dawniejsza świetność...

— Jest zawsze świetna! przerwał pan Kazimierz, i wyraz szlacheckiej dumy łysnął mu przez twarz zobojętniałą.

— Owoż; mówił pan Stanisław nie zbity niczem z tropu; w takim razie, mógłbym się naprzeciw dłużnikom moim zastawić przyszłym związkiem i twoją siostrą; a natomiast moglibyśmy zrobić układ jaki między sobą... Wszak ja nawet wchodzę w niesprawiedliwość testamentu pani brygadierowej Sulmińskiej... i w razie gdybyś się przychylił kochany Kaziu do najgoretszych życzeń moich, mógłbym część jaką...

Ta ofiara nie bardzo szła przez gardło baronowi, jakoż utknął na niej trochę, lecz niepotrzebował dokończyć, bo jakkolwiek z gruntu prawie zepsuty był pan Kazimierz, miał przecie w swej piersi zasady szlachetniejsze, w uczciwym rodzie z ojca na syna przechodzące, które uśpione zatrutem powietrzem zagranicy, rozkrzewiły się w nim w ojczyźnie. To też przemknął mu przez twarz odblysk szlachetniejszej dumy, i niedając kończyć baronowi:

— Ciotce mojej wolno było zapisać majątek komu się jej podobało; i ja nie myślę kosztem siostry mojej płacić osobiste długi moje.

— Więc mam to wziąć za odmówienie zupełne.

Tu nastała chwila milczenia, chwila walki w duszy pana Kazimierza, walki jego rodzinnej dumy, z koniecznością niezrywania z panem Stanisławem...

— To nie!.. wyrzekł nareszcie. Ja niemiałbym nic przeciw temu; ale to zależy od siostry mojej...

— Której jesteś sądowym opiekunem.

— Zapewne... i ja nie odmawiam... Przykro mi tylko było, żeś mi zrobił propozycyą, która... Wszak w razie gdybyś został szwagrem moim, dosyć dla mnie, jeżeli zechcesz dług swój rozdzielić na pewne, mnie dogodne wypłaty.

— Co zechcesz i jak zechcesz! zawołał baron na prawdę rozczulony, widząc że się rzeczy dadzą urządzić lepiej niż sam zamyślał. Skoczył więc z miejsca swego, i nie dając Kazimierzowi przyjść do słowa, uścisnął go najserdeczniej.

— Dziękuję ci kochany Kaziu! dziękuję z serca. I teraz kiedy już mam prawo niejako pomówić z tobą szczerze, muszę dotknąć przedmiotu, który pierwej podnieść byłoby największą z mej strony niedelikatnością, a który obchodzi nas teraz zarówno. Lecz zaklinam cię — mówił dalej baron z wielką patetycznością; na naszą przyjaźń, na przywiązanie twoje do panny Heleny, nie unoś się niepotrzebnie, i wysłuchaj cierpliwie. Na każde złe, znajdzie się lekarstwo, trzeba tylko zimnej krwi.

— Mówże już raz! — zawołał gwałtownie pan Kazimierz, który niedarmo był synem swego ojca, a którego ta przemowa jak łatwo pojąć poruszyła niepospolicie.

Tu tedy pan baron z wielką zgrabnością lepszej sprawy godną, przedstawił przyszłemu szwagrowi swemu, całą historyę o tem szczególnem przywiązaniu panny Heleny do Znajdy. Nie wierząc w to niby, czego zresztą najlepiej dowodził staraniem się o jej rękę, podniósł jednakże najdobitniej, wszystkie powody z jakich powstało to mniemanie i powstać musiało. Zdradliwie dosyć napomknął o zaletach i wewnętrznych i zewnętrznych Znajdy, o słabości jaką miał do niego nieboszczyk szambelan, o tem wspólnem niejako wychowaniu Znajdy z córką jego pana i dobrodzieja, o dawnem nakoniec wahaniu się Znajdy, skończenia raz ślubem tego stosunku od tak dawna już związanego z Marynką Oleksy gajowego. Co by nie było, zakończył z rodzajem smutnej powagi, jest to plotka, która dotąd w małych rozchodzi się kółkach, ale niemniej przeto istnieje, i może się rozejść, może się stać całemu światu wiadomą, i zarówno siostrze jak bratu stać się na zawsze szkodliwą. Namacalną wynikłością tego, prawdą i fałszem naszpikowanego rozumowania, była potrzeba, jak najprędszego ustalenia losu panny Heleny, co oczywiście tylko przez szybkie zamąż pójście da się uskutecznić, i potrzeba nareszcie jak najprędszego oddalenia Znajdy. Oddalenie to zaś powinno nastąpić w sposób tak głośny, i tak niby zgodny z jego podrzędnem położeniem we wsi aby w razie zamknąć wszystkim gęby. Rekrutacya teraźniejsza zdaje się poddawać najlepszy sposób, a środki prowadzące do ułatwienia tego brał w końcu pan Stanisław na siebie.

Rzecz była przedstawiona w taki sposób, iż pan Kazimierz, mimo wewnętrznego wzdrygania, nie mógł się wywinąć. Czuł to bowiem doskonale, że gdyby odmówił siostry panu Stanisławowi, nie tylko siebie ale i siostrę swoją wystawi na zemstę barona. Siebie przez weksel na tak znaczną kwotę, znajdujący się w ręku jego; a siostrę, przez utratę zupełną dobrego imienia, której baron łatwo dopnie rozprzestrzeniając i zwiększając plotkę o jej z chłopem prostym romansie. Ożenienie zaś barona z Heleną przynosiło korzyść i siostrze i jemu samemu. Co przeważyło, czy korzyść siostry, czy korzyść własna, nikt nieodgadnie zapewne, i nikt odgadywać nie ma prawa, chyba ten, któryby nigdy w podobnej kolizyi cudzego i własnego dobra, o swojej nie pamiętał korzyści. Na pochwałę wszakże i zaszczyt pana Kazimierza dodamy, że najdłużej opierał się potrzebie podobnych jakie baron podawał środków oddalenia Znajdy. Pamięć na ojca, przywiązanie do tego biednego sieroty, jego właśnie sieroctwo, oddające go niejako pod opiekę pana Kazimierza, nieprawość i nieszlachetność podobnego postępowania z człowiekiem, który był może niewinny, i który tyle dawał ciągle dowodów swojej serdecznej przychylności do nich wszystkich; wszystko to razem żywo się wyobrażało panu Kazimierzowi, i oburzało go wewnętrznie na pana Stanisława, i podany przez niego środek. Ale niestety! uczucia lepsze były tylko przechodzącemi w sercu pana Kazimierza, a na wszystkie zarzuty umiał baron zwycięsko odpowiadać. Trzeba go oddalić, powtarzał, i to tak oddalić, by nie mógł łatwo i prędko wrócić.

Stanęło więc na zdaniu i radzie pana Stanisława, który uściskawszy Kazimierza najczulej, odjechał do domu.

Pan Kazimierz długi czas chodził po sali bilarowej. Cienie rozmaitych smutnych myśli przebiegały mu gdyby chmury po twarzy. Nie bez wewnętrznego zarzutu sumienia brał się do uskutecznienia ułożonego planu. Bał się po większej części zapewne tych wszystkich drobnych i

nudnych nieprzyjemności, jakie musi przebyć za nim trafi do celu; ale też z drugiej strony nie raz i nie dwa przeklinał swoją lekkomyślność, która jak zwykle objawiona trwonieniem zasobów majątkowych stawia w najprzykrzejszej podległości okolicznościom i zdaniom cudnym. Po całogodzinnej zresztą przechadzce, zadzwonił i kazał siostrę poprosić do siebie. (Koniec rozdziału siódmego.)

Krzyż na stepie*).

. . . . I my w Arkadyi poczęli te dzieje!
A dziś już tylko w książce szukać nieba....
Panie Tytusie! trzeci dzień deszcz leje,
Otóżby ducha czem pokrzepić trzeba!

Chmurzyska patrzą na świat gdyby sępy,
I biednym w sercu, a i w duchu tępy:
Mieli ojcowie w słotę swe pociechy,
Póki się węgrzyn trzymał starej strzechy.

Nam już innego trzeba kordyału,
Bo idą na nas rozumowe lata,
I przekonanie dziś miejsce zapału
Zajęło w sercu — a więc i strach świata....
— «Nudzisz braciszku!» Pan Tytus mi na to·
— »Nudzę, bom nudny!»
Ale panie zawsze,
Na nudnych ludzi od panów łaskawsze;
Więc rzekła ciesząc: «Wszak jest babie lato!
To nie potrzeba i rozpaczą grzeszyć,
Moi kochani! znamy my was, znamy!
Potrafim jeszcze i w słotę pocieszyć,
I na argument co innego damy.

Będę lektorką! ale proszę grzecznie,
Siedzieć i słuchać! No czegoż wam trzeba?»
— «Jużci jednego trzeba tylko wiecznie,
Człeka na ziemi, a nad ziemią nieba!
Co się podoba! Kalendarz, Kantyczki,
Byle to było poczciwe i nasze:
Dziewczę u źródła—dziecię u kapliczki—
Koń u namiotu—u mogiły ptaszę.
Byle w kałuży nie utknąć za progiem,
Byle się spotkać z człowiekiem i z Bogiem,
I z czystą wodą, lub z jędrnym oddechem,
I z nocną ciszą, lub ranku uśmiechem.»

—«Nie złego widzę panom się zachciewa!
Tak w sam rym trafić, to niebardzo snadnie,
Lecz koń i namiot wszak na stepach bywa?
Więc «*Krzyż na stepie*» może wam przypadnie?
Step wielka karta—a Krzyż wielkie znamię—
Krzyż nie zawiedzie—a step nie okłamie!
A więc cóż na to wielmożni nudziarze?»
— «Jużciż słuchamy, kiedy pani każe!» —

A więc usiadłszy, słuchaliśmy oba,
Z razu niedbale i bardzo krytycznie,
Bo kwaśnej duszy nic się nie podoba.
Lecz jak nas powieść wzięła poetycznie,
I jak czarami w inny świat przeniosła,
Kiedy nas owiał urok pięknej wioski,
A potem jeszcze stepu oddech boski,
Darmoż odprawić było niebios posła?

Bo nie oderwać ni serca, ni ucha,
Jak od tej pieśni, co to rodem z ducha,
Jak od toastu w uniesienia chwili,
Ust nie oderwać—aż się już wychyli...

Lektorka nasza odłożyła księgę,
I zapytała: «Cóż moi Panowie?
Czy tam deszcz leje jeszcze na potęgę?
Czy jeszcze słota i w sercu i w głowie?»

—»A gdzież tam słota?—Pogoda! prześlicznie!»
I jakoż gdyśmy wrócili do siebie,
Była pogoda w duszy i na niebie,
I gwiazdy drżały jakoś eterycznie.

Z każdego balu, to najlepsze pono,
Że jest po balu pobalowa chwila,
W której jak obraz staje całe grono,
Którą się serce na długo zasila.
A więc usiadłszy do herbaty w kątku,
Snuliśmy jeszcze długo z tego wątku.—

Powieści dzisiaj dość na świecie bywa;
Wyuczył kuglarz sztuk z jednej butelki,
I szklanka wody—rzecz nie osobliwa;
Lecz czysta woda—to wiecznie dar wielki;
Bo czysta woda, to i czyste źródło—
A mimo wszelkie wrzaski tryumfalne,
W literaturze dziwnie coś pochłodło,
I są źródełka brzydko mineralne...

— «To coś już znowu zakrawa na słotę!
Rzekła lektorka—a ja mam ochotę,
Wiedzieć koniecznie, co w powieści małej
Tak was zajęło?«
«Pan Pułkownik cały!
Pułkownik piękny! kocham Pułkownika!
Bo po rycersku dzielny i ozdobny,
Jak król pustyni gdy stepem pomyka,
A w sercu jakoś tak pięknie żałobny,
Że go i kochać i rozumieć trzeba?
Bo związek ziemi z niebem wyrozumiał,
I w prostej duszy tak pięknie zadumiał,
Że znalazł drogę ze stepu do nieba!»

—Cóż bohaterka? a cóż piękna pani?
«Ot Lafirynda! ot sobie Kamilka!
Chora, zraniona, a mimo to rani,
Ale i dla niej jest tam piękna chwilka.

Bo pojąć życie, którem wyżsi żyją,
I wzbić się z niemi, gdy się oni wzbiją,
Choćby raz w życiu, choćby nie na długo—
I to już piękne, i to już zasługą!

Co do mnie jednak, mnie za duszę trzyma,
Ów koń pustyni, kiedy strzyże uchem,
I w stepie wietrzy świętego pielgrzyma.
Jakby przeczuwał, że tu sprawa z duchem,

---

*) Piękna powiastka *Krzyż na Stepie*, Józefa Korzeniowskiego, dała W. Polowi, powód do napisania wiersza pod tymże tytułem: *Krzyż na Stepie*, który ofiarował Pannie H. Korzeniowskiej, córce autora *Tadeusza Bezimiennego, Spekulanta*, i owego właśnie *Krzyża na Stepie*. (G. W.)

Bo to od grobów ziemi świętej wieje,
I ziarnem Bożem po wszem świecie sieje,
I choć krzyżami drogę swoją znaczy,
Światłem niebieskiem i miłością raczy. —

Ten oddech stepu wielki i szeroki,
Ten «Krzyż na stepie» prosty i wysoki,
To i świątynia i odprawa święta,
Podniosłą duszą i gładko ujęta!

Z niewiela czego, a piękną rzecz zrobił!
W całej powieści ni złości, ni brudu;
Nikt się nie zabił, nikt się ani pobił;
Węzeł rozcięty, a bez krwi i cudu!
To się już dzisiaj zdarza bardzo rzadko:
Namiot i Kozak, a i step i konie,
A wszystko poszło i grzecznie i gładko,
Że mało kiedy bywa tak w salonie.

To dar prawdziwy, i tego nam trzeba:
Człeka na ziemi, a nad ziemią nieba!
I wielka prawda, że Krzyż wielkie znamię;
Krzyż nie zawiedzie, a step nie okłamie....

Wincenty Pol.

Najnowsze dzieła.

Wieczornice

przez Lucyjana Siemieńskiego tom 2. i 3.

Mówiliśmy o tomie pierwszym, wypada więc mówić o tomach następnych, jakkolwiek jest to niemałe zadanie, robić przegląd podobnych jak p. Lucyana Siemieńskiego powiastek. Bo przedewszystkiem trzeba pamięcią zasięgnąć co i gdzie już było drukowane, jak to jest przypadek w Wieczornicach, o których mówimy. Większa część artykułów tego zbioru była drukowana bądź dawniej w pismach poznańskich, bądź poźniej w feuilletonie «Czasu.» Lecz to by jeszcze mniejsze było złe, bo podobne zbiory artykułów po różnych pismach porozrzucanych, trafiały się zawsze i trafiają. Lecz daleko jest gorzej, iż pisząc o powiastkach p. Siemieńskiego, trzeba znać doskonale francuską i niemiecką feuilletonową literaturę. Bez najmniejszego nawet skrupułu bierze sobie p. L. S. powiastki bądź francuskie bądź niemieckie, przerabia je na polskie, naszpikuje hetmanami, podczaszemi i imionami polskiemi, i puszcza je w świat, jako swoje utwory oryginalne, a nawet jako zdarzenia historyczne polskie. Pan Siemieński jako wróg otwarty wszelkiej nowości, wszelkiego postępu i postępowców, których przy każdej sposobności potężnem umie gromić piórem, zapewne z powodu, iż właśnie teraz jest stosowna pora do budzenia nieufności i do rozdwajania narodu, nieprzyjaciel wszelkich nowinek jest i w tym względzie konserwatystą; zamiast stwarzać nowe powieści on woli wydawać stare, choćby nawet obce. Taki sam przypadek był z powieścią w pierwszym tomie tego zbioru, pod tytułem: «Kochanka hetmańska.» Z najzimniejszą krwią powiada autor z góry, że opisuje dawne dzieje, dawnych ludzi, dawne cnoty, wprowadza młodego hetmana, imiona polskie i t. d. Pisząc poprzednio o tej powieści, powiedzieliśmy jeno, że treść onej i cała intryga są raczej francuskie niż polskie. Mieliśmy wprawdzie posądzenie, znając nie od dzisiaj flibustierskie w tym względzie usposobienie p. L. S., ale nie mając pewności, przyjęliśmy ten utworek za oryginał. Lecz na nieszczęście pana S. są ludzie którzy nic nie robią, jeno wartują feuilletony i powiastki francuskie. Jeden z takich oświecił nas dopiero, i pokazało się, że rzeczona powieść z dawnych czasów polskich jest niczem innem jeno przerobieniem powieści francuskiej pana Pawła Musset, pod tytułem «La viergeotte de Joinville.» Sam ten fakt nie potrzebuję dalszych komentarzów, aby zrozumieć ile podobne korsarstwo literackie jest upodlające dla samego autora, i znieważające czytelników których autor ma tym sposobem za nic. I w tych dwóch tomach następnych zdybujemy niestety! ten sam obyczaj korsarski, którego autor snać się już pozbyć nie może. Pierwsza zaraz powieść z kolei: *Próba poświęcenia się z miłości*, jest niezaprzeczenie przerobioną z francuskiego. I tytuł i przedmiot i treść i prowadzenie rzeczy są czysto francuskie; przypominamy sobie nawet, żeśmy czytali podobną powieść francuską; tytułu wszakże przypomnieć sobie w tej chwili nie możemy, lecz i to z czasem wyjdzie na wierzch. Powieść sama przez się także niewiele warta, i być inaczej nie może, bo autor przerabiając obce powiastki, by się nie zdradził, musi robić wybór pomiędzy gorszemi, a tem samem mniej znanemi. Treść powieści taka: Dziewczyna eksaltowana nasłuchawszy się od kochanka, że ją kocha nad życie, doprowadza do tego przez rozmaite intrygi i kuglarstwo magnetyczne, że wmawia w kochanka, iż jej życie zależy od tego by się kochanek za nią poświęcił, i wypiciem trucizny ją od śmierci nieochybnej ratował. Kochanek postanawia to uczynić, bierze truciznę do swego pokoju, lecz po długiem pasowaniu się z sobą nie wypił. Kochankowie w skutek tego zrywają z sobą. Przyjaciel kochanka, zajęty inną miłosną intrygą, znajduje się w położeniu przypadkowem, że z niebezpieczeństwem życia ratuje z płomieni kochankę przyjaciela. A więc poświęcał życie, choć jej nie kochał. Aż na końcu przecie prawdziwy kochanek, słysząc w towarzystwie źle mówiącego o jego bogdance, wyzywa tego z swych pojedynków sławnego jegomości. Strzelają się, bohatyr powieści mocno ranny, a bohatyrka przyjmując to poświęcenie się za dobrą monetę, pilnuje rannego i idzie za niego. Tegoż samego rodzaju oryginalnym utworem jest portret króla Jana. Przedmiot żywcem wzięty z powieści francuskiej, w której figuruje także portret staroświecki, z oczami wydłubanemi, przez które spoglądają żywe oczy zaczajonego rozbójnika, którego autor przechrzcił Bogusławskim. Co do innych powieści w zbiorze tym zawartych ażali są więcej oryginalne powiedzieć nie umiemy, lecz nie mając przekonania, przyjmujemy je za takie. Po większej części są to utwory mniejszej ceny, prawie wszystkie bez treści

zajmującej, chociaż się niezłym odznaczają stylem. **Szklanny człowiek**; są to dzieje człowieka wielce uczonego, który zwaryjował, i w tym stanie przemawia sensami moralnemi których by się najrozumniejszy człowiek nie powstydził. (D. n.)

Rzeźbiarze Sosnowski i Sztattler.

Z Rzymu. Sosnowski Oskar i Stattler, oto reprezentacya i świetna bardzo sztuki naszej, mianowicie rzeźby. Sosnowski, wołynianin, człowiek bogaty bardzo i całą duszą sztuce oddany. Pierwsze zasady rysunku powziął od znakomitego w swoim czasie szkicownika i malarza Sejdlitza, który przez długie lata bawił w Krzemieńcu,a na ostatek dni ściągnął do Warszawy, i tu życie nie sławne zakończył. Ś. p. Maliński, jeden z najdawniejszych profesorów rzeźby w Warszawie, obudził w Sosnowskim zapał do rzeźbiarstwa. Pięć lat pobytu w Berlinie pod Rauchem spędzone, rozwinęły znakomicie talent tego nie już amatora-artysty, ale artysty z powołania. Żadne prośby i gniewy zamożnej familii nie potrafiły go odwieść od garncarstwa, jak to szlachta nazywała. Wykradł się z domu i pędził do Rzymu, gdzie nieraz, mimo dostatki spodziewane, cierpiał niedostatek. Dziś jest sam jeden podobno dziedzicem znacznego majątku w Ostrowskim powiecie, w gubernii wołyńskiej, Nowomalina. Do dziedzictwa tego jedynaczka siostra będzie miała prawo jakieś, wedle obowiązujących w państwie przepisów. Wszędzie, gdzie Sosnowski gościł jako artysta rzeźbiarz, zostawił dobrą pamięć szlachetnego serca, znakomitego talentu i tak zwanego, w pospolitej mowie, oryginała, niby dziwaka, stroniącego od świata i współartystowskiego życia. Wszędzie jednak pracował, wiedząc że to nigdy jego utrzymania stanowić nie będzie. W ostatnich czasach bawił przez kilka lat wciąż w Rzymie, mało znany i mało komunikujący się; jedno dzieło swoje, ile sobie przypominam, a za pamięć nie ręczę, *Antygonę*, ofiarował na Kraków, po wielkiej tego miasta a niedawnej klęsce. Późniejsze dzieła tego dziś już mistrza, wzbudzają tu podziw nawet między Włochami, którzy nie radzi zapewne widzą coś niepospolitego w cudzoziemcach, a pewnie sztuki pojęcie i uczucie mają. Dzieła te godne muzeów florenckich i rzymskich nawet. Wszak to dosyć i wyraźnie, a że prawdziwie, mam za sobą głos tu ogólny. Najwyższe dzieło Sosnowskiego jest statua Chrystusa, pełna wyrazu, natchnienia, wykończona dłutem wielkiego mistrza. Sosnowski jako uczeń Krzemienieckiego liceum, zbiera dziś co może, by wydłutować popiersie Tadeusza Czackiego. Przez dwa ostatnie lata nie było go w Rzymie, bo od czasu jak tu bawię, teraz dopiero odkryłem mieszkanie jego. Obejrzę szczegółowiej tę pracownię, jeśli sam dłużej tu pozostanę, i coś więcej o nim napiszę, jak na to rzeczywiście zasługuje. Henryk Stattler, dziewietnasto-letni młodzieniec. Od chwili przyjazdu do Rzymu, zmiana w nim, postęp w wykształceniu zadziwiający, niepojęty prawie. Przed dwoma laty już o nim wiele mówiono, więcej może, jak na to wówczas zasługiwał; widziałem niektóre roboty jego w Krakowie, na które nie mam w tej chwili innego wyrażenia, jak że były najzupełniej mierne w porównaniu z dzisiejszemi pracami. Dziś, po roku pracy w stolicy sztuki, zdolność jego skromna przeszła w talent potężny, i z czasem będzie on chlubą naszą i chwałą. Znam go osobiście; miły młodzieniec, dobry, pokorny, może za nadto, nic a nic niezarozumiały, pracuje pod okiem ojca, jak uczeń pod okiem mistrza, chociaż rzeczywiście jest całkiem odwrotnie. Nie mam tu zamiaru ująć co zasłudze ojca, ale chcę być sprawiedliwym dla syna. Podług mnie, najpiękniejszy utwór młodego Stattlera jest pomnik księżniczki Sapieżanki, córki księcia Leona z Galicyi. Odznacza go i wykończenie znakomite i wdzięk niewypowiedziany prawdziwie. Drugi, Chrystus pośród doktorów, z marmuru, na podstawie także marmurowej. Chrystus stoi sam nachylony ku owym doktorom i wyciągający ku nim ramiona; na sześciokątnej podstawie jest sześć główdoktorów, które w piękności, natchnieniu i wykończeniu, wyższe są nierównie od głównej figury, która statuę stanowi i istotnie pięknie jest wykończona. Głowy te są w płaskorzeźbie wypukłej. Możem się źle wyraził, poprawcie, ale to zawsze utrzymajcie, że dzieło Stattlera: Chrystus między doktorami, jest wysokiej wartości, tak pod względem myśli, którą widać, że z natchnienia płynęła, jak wdzięku i wykończenia. Teraz ma pod ręką, w glinie dopiero, statuę Bogarodzicy. Więcej na teraz powiedzieć mi o nim nie wypada, bo to jeszcze zarodek myśli, którą może zmienić, porzucić, podnieść, jak mu to jego artystowskie uczucie i oko wskaże.

G. W.

Rozmaitość.

* **Z holdem gratulacyjnym dla Najjaśniejszej Pary** odjeżdżają w deputacyi do Wiednia w poniedziałek Wielkanocny: JEx. JO. X. Arcybiskup Baraniecki, JE. hrabia Kajetan Lewicki, książę Kalikst Poniński, hrabia Włodzimierz Russocki, PP. Erazm Korytowski, Zawadzki, Laskowski, Adamski, Breuer.

* Dla Pogorzelców Cieszanowa złożono z przeszłego Numeru 10 złr. Do tego p. Rafael Podrzycki 1 złr. p. Sabina Berezowska 1 złr. od nieznajomego 1 złr. J. L. 1 złr. Michał Dymet 1 złr. Razem 15 złr.

Kraków 11. b. m.— Miasto jednego koncertu na ubogich, zapowiedzianego na siódmego tegoż miesiąca, mieliśmy ich na raz dwa: pierwszy odbył się w południowej godzinie w ressursie obywatelskiej; a drugi w starej ressursie w domu pana Steinkellera. O pierwszym nic wam donieść nie mogę; każdemu bowiem niewchodzącemu w skład towarzystwa ressursowego trzeba było poprzednio starać się o znajomość jednego z członków tej ressursy, za pomocą którego dopiero mógł sobie wyrobić wstęp na wspomniony koncert. Niewiem jak się podobne ograniczenie, i stawienie trudności osobom pragnącym również przyjść w pomoc ubóstwu, pogodzić może z celem wspomnionej ressursy, jaki zapewnie osiągnąć pragnęła, **dając koncert na ubogich.** —

Wieczorny koncert w starej ressursie rozpoczęto piękną uwerturą z Prometeusza Bethowena, wybornie wykonaną przez wojskową orkiestrę powiększoną wielu dyletantami pod dyrekcyą pana Germasza. Następnie odspiewany duet z Cerulika Sewilskiego przez panią Mink, primadonnę opery niemieckiej, i pana Distlera c. k. financratha przy tutejszej dyrekcyi podatków, podobnież jak i arya z tejże samej opery, wykonana przez pierwszą, powszechne wywołała oklaski. O pani Mink miałem już raz sposobność wspomnieć, donosząc o koncercie panny Frydmanni. Pan Diestler pięknym barytonem poszczycić się może, chociaż głos jego tą razą zapewnie jeszcze nie zupełnie oswojony z widokiem tak licznie zgromadzonej publiczności, osobliwie w wyższych tonach niepewny i stłumiony. Z kolei pan Lubowski, krakowianin, o którym od czasu pobytu jego w naszem mieście już po pare razy **Czas** z chlubą i uwielbieniem wspominał, swą biegłą, nadzwyczaj czystą, osobliwie w tremolach nieporównaną grą na fortepianie zgromadzoną publiczność zachwycał. Pomijając kilka mniej więcej dość dobrze odspiewanych lub odegranych kawałków, wspomnieć mi jeszcze wypada o panu Weissie, pierwszym komiku przy tutejszym niemieckim teatrze, który piękną deklamacyą i jowialnym dowcipem wszystkich do serdecznego pobudzał uśmiechu.

W sobotę dano ostatnie przedstawienie niemieckie przed świętami, lecz kto wie czy i nie po świętach? jak wam już bowiem wiadomo, pan Megerle pomimo kontraktu wkładającego na niego obowiązek, utrzymania niemieckiego dramatu i opery w Krakowie już od niejakiego czasu zostawił na łasce bożej dyrekcyą niemieckiej sceny, która też

według wszelkiego prawdopodobieństwa szczupłemi dochodami niebędąc w stanie pokryć daleko większych wydatków, dłużej utrzymać się o własnej sile niezdoła.

Z drugiej zaś strony dawiadujemy się, że pan Pfeifer na seryo jeszcze w tym miesiącu zamyśla dać pierwsze przedstawienie polskie. Czy pan Pfeifer obejmując dyrekcyą polskiego teatru w zupełności odpowie oczekiwaniom i nadziejom naszym? Czy będziemy mieć to szczęście po upływie prawie roku wstępując poraz pierwszy do teatru na przedstawienie polskie z zadowolnieniem powracać do domu? Czy będzie komu zasłużone dawać oklaski? I jak długo pan Pfeifer utrzyma się przy tej dyrekcyi? oto są pytania, które dopiero w przyszłości czekają rozwiązania, a dał by Bóg! żeby odpowiednio życzeniom naszym wypadły.

* **Ze Złoczowskiego.** Nieszczęśliwy jest każdy wracający ze Lwowa do miasta cyrkularnego, bo ledwie że zajedzie do oberży, ledwie że z bryczki zlazłszy, zaczyna prostować pokurczone nogi, już też zaraz obskakuje go cała armia ciekawych o nowiny lwowskie; ledwie że więc nogą stąpiłem na ziemię złoczowską, zaraz otoczyli mnie, jak wytropionego zwierza obławnicy i każdy niecierpliwym woła głosem:

Siwy urzędnik, i panny, które nie sprzysięgły się jeszcze na ukaranie płci naszej heroicznem postanowieniem: »pójścia do klasztoru«, wołają: kiedy przyjdzie «organizacya?« tworzliwi o swych wierzycieli, kupcy: czy nie nastąpi może waluty »regulacya?» goła szlachta płaczliwym woła głosem: cóż porabia nasza »indemnizacya.«

Najłatwiej pocieszyłem siwych i nie siwych urzędników oraz dobre, w dziewiczej cierpliwości ćwiczące się panny, słowami piosnki chachułkowej, na górze piaskowej śpiewanej: «Jedzie Żelman, jedzie etc« Jedzie już organizacya. Trudniej już trochę udało mi się pocieszyć bojaźliwych kupców o walutę nowiną: że Rossyanie biją Turków. Lecz najtrudniej utulić mogłem indemnizacyi chciwą szlachtę. Tamci bowiem, choć nie bożem, to człowieczem przynajmniej kontentują się słowem, kiedy nasza, już okrutnie praktyczna szlachta, gwałtem chce pieniędzy!

No i cóż tu robić w takim razie, żeby nie skłamać? osobliwie kiedy szanowny paragraf korrespondujący ze Lwowa do: «Czasu« tyle już naobiecywał o indemnizacyi, pertraktacyi, elektrycznej działalności komisyi i t. d. iż każdy szlachcic z powrotem posłańca na pocztę po »Czas» i »Nowiny,« wygląda oraz ogromnego pakietu z indemnizacyjnemi pieniądzmi! Nie chcąc zaś wam i tak skłopotanym gospodarzom, do reszty psuć apetytu do święconych kiełbas, jajek i bab, przypomnę tylko ową karykaturę z czasów Napoleona I. odnoszącą się do zakazu kolonialnych towarów w Europie i zaprowadzenia fabryki cukru z buraków; ta karykatura przedstawia piastunkę, która trzyma na ręku synka małego, wkłada mu w usta burak miasto cukru, i pocieszą go za te faciendę temi słowy: *Papa dit que c'est du sucre!* również i ja pokazując wam w perspektywie obligacye, wołam: *On dit que c'est de l'argent!*

Nakoniec choć z bólem serca, powiem wam, że ojca wyglądanych pieniędzy, to jest prasy do wytłoczenia obligacyj indemnizacyjnych jeszcze nawet we Lwowie nie ma, i dopiero w sam czas, czyli w same kontrakty, około św. Jana, ma przybyć ten arcyszanowny i arcypożądany gość do Lwowa; i dla tego proszę cię mocno redaktorze, ażebyś nam w rubryce: «Przyjechali,« wielkiemi na łokcie literami, natychmiast doniósł o przyjechaniu tak miłego gościa, a nadziei naszych ojca; za to obiecuje ci: że na uczczenie go zrobimy w całym kraju wielką illuminacyę: *głów naszych*, szampapanem, maderą, węgrzynem lub jakimbądź innym spirytusem.

* Przedsiębierstwo polskiego teatru, powierzył na lat 10. JExc. hr. Namiestnik panu Chełchowskiemu, który już je objął.

* **Z Krakowa** 10 kwietnia. Będąc w korespondencyi z Krakowa, w Nr. 41. dziennika pańskiego po nazwisku wymieniony, pospieszam oświadczyć publicznie, iż tak sam fakt, jako i szczegóły wzmiankowanej korespondencyi, o ile mnie dotyczą, są zupełnie nieprawdziwemi. *Kirchmajer.*

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są: 1) Rycina mód paryska i 2) arkusz wzorów na hafty i t. p. Opis podamy w następnym numerze.

Przyjechali dnia 12. 13. i 14. kwietnia do Lwowa:

PP. Hagen Klementyna, z Perespy. Kożaryn Ignacy, z Uliczka, Krynicki Teodor, z Wiszeńki. ks. Adam Sapieha, z Krasiczyna.

PP. Borkowski Włodzimierz, z Lubieniec. Dobrzyński Franciszek z Bogdanówki. hr. Karnicki Teodor, z Milanowiec. Komarnicki Jan, z Magierowa. Niedzielski Stanisław, z Rudek. Petrowicz Krzystof, z Czerniowiec. Pressen Józef, z Czerniowiec. Skolimowski Julian, z Dynisk. Szemelowski Julian, z Sambora. Wisniewski Ludwik, z Putiatycze. Wiszniewski Hipolit, z Lubaczowa.

PP. Czajkowski Hipolit, z Dydiatycz. Coajkowski Wincenty, z Dobromila. Kopecki Edward, z Domarazy. hr. Krasicki Alexander, z Dubiecka. Skrzyński Stanisław, z Bachorca. Waszkiewicz Teodor, z Biłki.

Wyjechali dnia 12. 13. i 14. kwietnia ze Lwowa:

PP. ks. biskup Bocheński, do Wiednia. Dembiński Jan, do Krakowa. hr. Fredro Edward, do Rybia. Mijakowski Abdon, do Brzeżan. Mochnacki Ignacy, do Tarnopola. Niezabitowski Włodzimirz, do Koropusza. Posinger Ludwik, do Wiednia. Rożejewski Dimitr, do Brzeżan. hr. Stadnicki Edward, do Kresowa. Wszelaczyński Szczepan, do Tarnopola.

PP. Dziokowski Seweryn, do Krakowa. Friedberg Adolf, do Sokala. hr. Komarnicki Jan, do Złoczowa. hr. Stadnicki Jan, do Jarosławia. Urbański Tadeusz, do Mościsk. Zagórski Michał, do Czerniowiec.

PP. Longchamps Wacław, do Korytan.

Wczorajszy. **Kurs lwowski.**	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	12	złr.	6	kr.	17.
Dukat cesarski	»	6	»	14	»	6	»	20.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	50	»	10	»	55.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	2	»	2	»	7.
Talar pruski	»	2	»	—	»	2	»	3.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	30	»	1	»	31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	92	»	10	»	92	»	30.

Kurs telegrafowany z Wiednia pozawcz. o 2 g. popołud.

Amszterdam	113½.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	135.	Medyolan za 300 lirów	133.
Bukareszt	210.	Paryż za 300 franków	160.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	135.	Agio duk. ces.	—.
		Srebra agio	34½.
Genua	—	Pożyczka 5% 85⅜. 4½	76 7/16.
Hamburg za 100 tal. banco.	101¼.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1208.
Liwurno	—.	Kolej północna	2240.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 15.	Obl. ind. 5%.	—

Wczoraj jako w Wielki Piątek giełdy w Wiedniu nie było.

* **Teatr polski.** W poniedziałek Wielkanocny, wznowiona komedja w 3. aktach *Pamiętniki Szatana;* rolę Robena przedstawi pan Kaliciński, zaangażowany przed kilku miesiącami dla sceny tutejszej.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**